

## Aleksandra Karasowska

Rok: 1999

Czasopismo: Remedium

Numer: 4

Pracując w Przychodni Odwykowej w Gdańsku podjęłam pracę z dziećmi z rodzin alkoholowych. Jednocześnie w kilku miejscach w Gdańsku, w różnych instytucjach powstały grupy dla takich dzieci - prowadzone przez różne osoby. Spotykaliśmy się raz w miesiącu tworząc grupę wsparcia. Dzieliliśmy się swoimi sukcesami i porażkami. Często stawialiśmy sobie pytanie: Jak najskuteczniej pomóc dzieciom ?

Jedna z prowadzących od początku podjęła konsekwentną współpracę z rodzicami dzieci - poświęciła na to sporą część czasu i środków jakimi dysponowała, robiąc spotkania grupowe i indywidualne dla rodziców. Z porównania efektów pracy z dziećmi wyraźnie wynikało, że prowadzone przez nią grupy szybciej się integrowały, rotacja uczestników była mniejsza, dzieci były bardziej otwarte. Prowadząca mogła ocenić też zmiany, jakie zaszły w dzieciach, opierając się na relacjach ich rodziców.

Doświadczenia te skłoniły mnie do sformułowania wniosków:

- Pomagając dzieciom, warto współpracować z rodzicami.
- Najskuteczniej można pomóc dzieciom, pomagając ich rodzicom.

Wnioski te wywarły istotny wpływ na moją dalszą pracę.

Pacjenci Przychodni - alkoholicy i ich żony dość szybko dowiedzieli się, że pracuję z dziećmi i uznali mnie za eksperta od trudnych spraw. Najczęściej byli to rodzice nastolatków, udręczeni trudnymi zachowaniami swoich dzieci, pełni niepokoju i poczucia winy - traktowali mnie jak „ostatnią deskę ratunku”. Przyprawiali swoje dzieci i prosili: „Niech pani coś zrobi z moim synem. On jest taki nieodpowiedzialny i leniwy - zupełnie przestał się uczyć”. „Moja córka wpadła w złe towarzystwo, kilka razy nie wróciła do domu na noc. Może pani przemówi jej do rozumu”. „Mój syn bije młodszego brata. Może gdyby chodził na grupę, nauczył by się współżyć z nimi.”

Jedna z matek, alkoholiczka, zaczęła mnie kiedyś na korytarzu i zapytała, czy mogłabym porozmawiać z jej 16-letnią córką, bo ona teraz zaczęła się leczyć, jest nerwowa, potrzebuje spokoju, a córka zupełnie tego nie rozumie - przeszkadza, ciągle czegoś chce, głośno puszcza muzykę.

Z dziećmi było różnie. Niektóre z nich w ogóle nie zdecydowały się przekroczyć progu gabinetu, jeden chłopiec nawet uciekł w czasie, gdy rozmawiałam z jego opiekunem. Część nastolatków stwierdziła, że nie wiedzą po co przyszli na spotkanie, a gdy poczuli się bezpieczniej - wyznawali, że to mamie lub tacie bardzo zależało.

Niektóre dzieci skorzystały z proponowanej przeze mnie oferty, inne nie. Część nie potrzebowała pomocy terapeutycznej, ponieważ pomimo problemów w rodzinie, zupełnie dobrze funkcjonowali. Byli też tacy, którzy zdecydowali się opowiedzieć o swoich przeżyciach w rodzinie, ale spostrzegali sytuację inaczej niż ich rodzice - co innego stanowiło dla nich problem.

Jako ekspert od dzieci znalazłam się w trudnej sytuacji - nie byłam w stanie spełnić oczekiwań rodziców. W większości przypadków to właśnie rodzice mieli problem z zachowaniem swoich dzieci, ale nie mogli sobie z nim poradzić. Zdesperowani, próbowali oddać część swoich kompetencji rodzicielskich ekspertowi, mając nadzieję, że będzie on w stanie wyrzeć na nie oczekiwany wpływ.

Dla mnie to był bardzo ważny moment. Postanowiłam oddać rodzicom odpowiedzialność za wychowanie ich własnych dzieci i oferując pomoc, zachęcić ich do pracy nad rozwiązaniem problemów.

Okazja nadarzyła się podczas obozu terapeutycznego dla alkoholików i rodzin.

Przemówiłam do zgromadzonych tam osób, zapewniając ich, że jako rodzice - są najważniejszymi osobami w życiu swoich dzieci, a ja nie jestem w stanie ich zastąpić, bo to oni właśnie mają na nie największy wpływ. Rodzice słuchali uważnie - a potem zaczęli wyrażać swoją bezradność:

„Próbowałem już tylu sposobów, ale na niego nic nie działa”;

„Mój ojciec mnie bił, a ja nie chcę bić dzieci i dlatego mi wchodzi na głowę. Nie wiem jak z nimi postępować, żeby ich nie krzywdzić”;

„Gdy piłem - straciłem szacunek u dzieci. Teraz mnie nie słuchają”;

„Moja córka mnie lekceważy, dla niej liczą się tylko koleżanki”;

Przyznałam rodzicom rację - wychowanie dzieci to bardzo trudne zadanie. powiedziałam, że należy im się wsparcie i dlatego zamierzam otworzyć „Szkołę dla rodziców”, w której będą mogli rozwijać swoje umiejętności wychowawcze.

Rodzice rozliczyli mnie z tego zobowiązania - tym razem to oni zaczepiali mnie na korytarzu przychodni i pytali kiedy będzie ta „Szkoła”. Nie miałam wyjścia - kilka miesięcy po tym obozie rozpoczęłam pierwszy cykl zajęć.

Pracując z dziećmi i ich rodzicami, często spotykałam się z przypadkami wycofywania się przez rodziców z roli rodzicielskiej wobec własnych dzieci. Myślę tu nie tylko o skrajnych przypadkach odrzucania czy zaniedbywania dziecka. Moje obserwacje dotyczyły też przeciętnych rodziców, którzy angażowali się w wychowanie najlepiej jak umieli. Jednak często nie dostrzegali problemów, które przeżywało ich dziecko, a w sytuacjach konfliktowych mieli tendencje do wycofywania się. Wielokrotnie stawiałam sobie pytanie, dlaczego tak się dzieje, dlaczego rodzice wycofują się, chociaż dzieci ich potrzebują. W swojej praktyce nie spotkałam rodzica, któremu byłby obojętny los i szczęście własnego dziecka. Nawet ci, którzy nie okazywali dziecku uczuć - w głębi serca na swój sposób kochali je. Przyczyn takiego zjawiska może być wiele, jednak niektóre z nich zasługują na szczególną uwagę.

### **Osobiste problemy rodziców**

Jednymi z najbardziej oczywistych przyczyn były osobiste problemy rodziców: alkoholizm, współzależnienie, inne przewlekłe choroby, nierozwiązane problemy emocjonalne z dzieciństwa, problemy małżeńskie, itp. Rodzic pochłonięty własnymi problemami nie dostrzegał potrzeb dziecka, nie miał siły na podjęcie rodzicielskich zadań. Wycofywaniu się sprzyjała też trudna sytuacja materialna rodziny, szczególnie w połączeniu z samotnym rodzicielstwem. Brak wiedzy, umiejętności, dobrych wzorów z dzieciństwa.

Często zadania, przed którymi stawali rodzice przytłaczały ich. Brakowało im wiedzy, umiejętności, potrzebnych do rozwiązania problemów, jakie pojawiły się w wychowaniu.

Zmiany zachowania dziecka w procesie rozwoju zaskakiwały ich, nie rozumieli przyczyn jego trudnych zachowań i nie wiedzieli, jak na nie reagować. Człowiek uczy się rodzicielstwa we własnej rodzinie a im często brakowało dobrych doświadczeń. Wpadali w swoistą pułapkę: nie chcąc krzywdzić własnych dzieci - odcinali się od doświadczeń z dzieciństwa, wzorców, jakie dawali im rodzice, a wtedy tracili grunt pod nogami - powstawała pustka, której nie mogli wypełnić. W rezultacie czuli się niepewni, zagubieni, w obliczu trudności wpadali w poczucie winy lub winą obarczali dziecko.

Jedna z matek mówiła: „Gdy mój syn zaczął się źle zachowywać - najpierw w to nie wierzyłam. Bardzo go kochałam i myślałam, że to dobry chłopiec. Przestał się uczyć, chodził na wagar. Nie chciałam go karać, bo mój ojciec mnie bił i za to go nienawidziłam. Myślałam, że to moja wina, że jestem złą matką, więc starałam się być dla niego dobra (nie tak, jak mój ojciec dla mnie) - kupowałam mu wszystko, starałam się dogodzić. Teraz syn ma kuratora, bo włamał się z kolegami do kiosku. Wiem, że bierze narkotyki. Nie odzywa się do mnie. Już z niego chyba nic nie będzie.”

Ta matka wpadła w pułapkę: kochała syna, więc starała się być dla niego dobra, nie taka jak jej ojciec. Gdy syn zachowywał się źle, nie stawiała mu granic, bo dla niej oznaczało to krzywdę i upokorzenie dziecka. Ponieważ problemy narastały, czuła się coraz bardziej winna i próbowała to wynagrodzić synowi. Wreszcie zrozpaczona, bezsilna, była gotowa go skreślić.

Trudności w określeniu swojej roli i odpowiedzialności wobec dziecka.

Rodzicom, którzy nie mieli adekwatnych wzorów z dzieciństwa w sytuacjach problemowych często trudno było określić swoją odpowiedzialność. Oczekiwali, że dziecko samo z siebie powinno się zachowywać zgodnie z ich oczekiwaniami. Gdy tak się nie działo - źródłem problemu poszukiwali w charakterze dziecka, przypinając mu etykietkę, np. „Mój syn jest leniwy”. Zgodnie z tą interpretacją próbowali manipulować psychiką dziecka - wpędzając je w poczucie winy lub prowadzili do specjalisty, żeby je „naprawił”;

Nie rozumieli, że uczenie go właściwych zachowań, motywowanie do współpracy, wyciąganie konsekwencji - należy do ich rodzicielskich zadań. Często oczekiwali, że dziecko ograniczy się samo.

Matka 16-letniej dziewczyny żaliła się: „Moja córka myśli tylko o sobie. Nic ja nie obchodzi, że mamy mało pieniędzy, ciągle muszę jej kupować nowe, drogie rzeczy. Ja taka nie byłam - widziałam, że rodzicom jest ciężko i o nic nie prosiłam.”

Tej kobiecie nawet nie przyszło do głowy, że mogłaby postawić granice żądaniom córki.

Ponieważ w dzieciństwie sama ograniczała swoje potrzeby - oczekiwała, że córka też tak zrobi. Długotrwały brak satysfakcji i obniżanie poczucia własnej kompetencji w roli rodzica.

Porażki w wychowywaniu dziecka, narastanie problemów, pogarszanie się relacji z dzieckiem - powodowały, że dla wielu rodziców rodzicielstwo stało się źródłem cierpień: złości - „chciałbym go stłuc”, lęku - „co z niego wyrośnie”, wstydu - „jestem złym ojcem”, „nie sprostalem zadaniom”, poczucia winy - „skrzywdziłem je”, rozczarowania - „zawiodłem się na niej”, bezsilności - „już nie wiem co zrobić, nie mam na niego wpływu”, wątplenia - „z niego już nic nie będzie”, poczucia krzywdy - „tak ją kocham, a ona mnie rani”, wyczerpania - „już nie mam siły”;

Ci rodzice często od dawna nie doświadczali satysfakcji ze swojego rodzicielstwa, czuli się niekompetentni w tej roli. Często aby uniknąć dalszych cierpień, wycofywali się z relacji z dzieckiem, np. uciekając w pracę, alkohol. Ulegali złudzeniu, że w ten sposób mogą się ochronić przed poczuciem porażki i bezsilności. Tymczasem dosięgała ich „powracająca

fala"; - opuszczone dzieci domagając się obecności rodziców - nasilały swoje trudne, często destrukcyjne zachowania, wymierzając je przeciwko nim, innym ludziom lub samym sobie.

Różne, subiektywne przekonania rodziców odnośnie możliwości wywierania wpływu na własne dziecko.

Rodzice nie doceniali możliwości wpływu, jaki daje im więź z dzieckiem.

Sądziła, że nie są w stanie konkurować z innymi źródłami wpływów, np. środowiskiem rówieśniczym: "moja córka słucha tylko tego, co mówią koleżanki";, czy wizją życia przekazywaną przez reklamy: "dla mojego syna liczą się tylko pieniądze i te wszystkie rzeczy pokazywane w reklamach. Ja nie mam mu nic do zaoferowania";.

Czuąc się z góry przegrani, rezygnowali z przekazywania dzieciom swoich przekonań, wartości.

Czasami rodzice byli przekonani, że istnieją osoby, instytucje, które mogą (lub powinny) zastąpić ich w wychowaniu dziecka.

Szkoląc osoby pracujące z dziećmi, wielokrotnie słyszałam od nich skargi na roszczeniowych rodziców. W świetlicy wychowawczej - matka alkoholiczka zrobiła pracownikom awanturę, że dziecko nie ma odrobionych lekcji. Wychowawcy zajęli się zaniedbanym dzieckiem, przygarnęli je do świetlicy, nie stawiając jednak matce żadnych wymagań. W rezultacie dziecko przebywało przed południem w szkole, a potem w świetlicy. Matka wyciągnęła słuszne wnioski, że dziecko jest pod opieką tych instytucji. Dlatego, gdy okazało się że dziecko ma kłopoty w szkole, oburzyła się i poszła z pretensjami do wychowawców.

Rodzice, którzy przyprawiali do mnie swoje dzieci, również mieli nadzieję, że mogą ich zastąpić w ich wychowaniu.

Jednak, gdy wyraźnie określiłam swoją rolę, oddając im ich rodzicielską moc - zwykle byli gotowi przyjąć na siebie odpowiedzialność.

Sądzę, że jest to sprawa warta głębszego rozważenia - jakie są granice kompetencji rodziców i instytucji uczestniczących w wychowaniu dziecka? Jak powinna wyglądać współpraca tych instytucji z rodzicami? Jest to być może temat na następny artykuł. Jest też kwestią do rozstrzygnięcia - jak postępować w sytuacji, gdy rodzice częściowo lub całkowicie nie spełniają swojej roli wobec dzieci? Czy zastępować ich w tej roli, czy pomóc im w podjęciu jej? Dylemat ten ostatnio pojawia się w dyskusjach o wychowaniu seksualnym w szkole, a także w dyskusjach o domach dziecka. Chodzi tu o zaangażowanie środków i energii w jednym lub drugim kierunku.

Z moich doświadczeń jasno wynika, że warto inwestować w rodziców. Przynajmniej z kilku powodów:

- To złudzenie, że pracując z dzieckiem w instytucji można mu zastąpić rodziców. Prędzej czy później dostrzeże to każdy, kto próbuje to robić. W konfrontacji z rozbudzonymi potrzebami, uczuciami i oczekiwaniami dziecka - boleśnie doświadcza własnej bezsilności - nie mogąc ich zaspokoić. Czasami w takiej sytuacji pytam osobę pracującą z dzieckiem, czy jest już gotowa zaadoptować to dziecko? Tak postawione pytanie zwykle zmusza do refleksji nad własną odpowiedzialnością. Wynika stąd wniosek, że im dalej się wchodzi w rolę rodzica, tym bardziej trzeba ją podjąć!

- Dzieciom nie jest wcale obojętne, kto je wychowuje! Rodzice są najważniejszymi osobami w ich życiu - nawet wtedy, gdy je zaniedbują, odrzucają, krzywdzą. Dziecko wciąż ma nadzieję, że rodzice się zmienią, że pokochają je i zaopiekują się nim.

Pracując z młodzieżą widzę, jak silna jest ta nadzieja (także wtedy, gdy dziecko odejdzie z

domu), jak trudno jest wejść w dorosłe życie, gdy nie zostanie spełniona.

· Próby zastępowania rodziców przez instytucje doprowadzają do tego, że oni jeszcze bardziej się wycofują. Zapewne roszczeniowość rodziców częściowo wynika z poczucia bezradności, ale też instytucje, które przejmują ich rolę wobec dzieci, nie nawiązując z nimi współpracy, nie stawiając żadnych wymagań i nie określając granic - przyczyniają się do wzmocnienia tej postawy.

· Rodzice, którzy otrzymają wsparcie, poczują się wzmocnieni w swojej roli - podejmują ją o wiele lepiej niż jakakolwiek instytucja. Pamiętam matkę, która czuła się skreślona przez swojego 16-letniego syna i sama w poczuciu bezradności była gotowa go skreślić. Nie wierzyła już, że cokolwiek może ich łączyć - poza nienawiścią. Podczas zajęć dla rodziców manifestowała swój brak nadziei, odrzucając wszelkie propozycje. Jednocześnie jednak otrzymywała dużo wsparcia i akceptacji od innych rodziców. Gdy spotkałam ją po roku - powiedziała, że stał się cud. Syn zamieszkał z nią powtórnie i stali się przyjaciółmi. Ale najpierw musiała się napracować - syn przez długi czas odrzucał jej przyjazne gesty, aż w końcu zobaczył, że ona nie zamierza zrezygnować, uwierzył, że naprawdę go kocha. Z tej historii wynikało dla mnie, że czasami trzeba bardzo dużo zainwestować w rodziców po to, by oni mogli to potem oddać swoim dzieciom.

O tym, jak pracować z rodzicami, jakie przyjąć w tej pracy kierunki i metody, napiszę w następnym numerze Remedium.